

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Poetycki Terroryzm

Hakim Bey

Hakim Bey
Poetycki Terroryzm

Zbiór jest jak na razie niepełny, tu znajduje się w całości po angielsku
theanarchistlibrary.org

pl.anarchistlibraries.net

Spis treści

Chaos	3
Pirotechnika	3
Komunikaty Stowarzyszenia Na Rzecz Ontologicznej Anarchii	5
Komunikat 7: Psychiczny paleolityzm i nowoczesna technologia:	
Wykładnia Stanowiska	5
Komunikat 8: Teoria chaosu i rodzina nuklearna	8
Instrukcje do Kali Yugi	9
Dla kongresu dziwacznych religii	12
Nietzsche i Derwisze	15

To nie jest po prostu kwestia duchowego dandyzmu, ale także egzystencjalnego przywiązania do fundamentalnej spontaniczności, do filozoficznego "tao". Pomimo tego tracenia energii, w swej samej bezkształtności, anarchizm jako jedyny pośród IZMów przyznaje, że jedynym rodzajem formy, jaka nas teraz interesuje, jest dziwnie powabny "chaos" – który (ostatni cytat) trzeba mieć w sobie, aby dać początek tańczącej gwiazdzie.

Chaos

Pirotechnika

Proch strzelniczy - odkryty przez Chińczyków, ale nigdy z myślą o wojnie. Świetny przykład Poetyckiego Terroryzmu, broń przynosząca szok estetyczny a nie śmierć - Chinczyki nienawidzili wojny i pogrążyli się w smutku, kiedy zbierały się armie. Lepszy do przerażania złośliwych demonów, wywołania zachwyty dzieci, wypełniania powietrza dzielną, pachnącą ryzykiem mgiełką

Grzmiące Bomby Klasy C z Kwantungu, butelkowe rakiety, motyle, M-80, słoneczniki, "Puszcza na Wiosnę" - rewolucyjna pogoda - zapal papierosa od skwierczącego zapalnika czarnej bomby Haymarket - wyobraź sobie powietrze pełne lamii i sukkubów, dręczących duchów, duchów-policji.

Zawołaj jakiegoś dzieciaka z tłącą się szmatą albo kuchennymi zapałkami - szamana - apostoła letnich spisków prochu strzelniczego - wstrząśnij ciężką nocą chudymi i tłustymi gwiazdami, arsenem i antymonem, sodem i kalomelem, bombardowaniem magnezu i ostrym pikfatem potażu.

Zapalnik (kopcę i saletra potasowa) lont i opiłki żelaza - zaatakuj miejscowy bank i znienawidzony kościół rzymskimi świecami i złocisto czerwonymi raketami, bez przygotowania i anonimowo (prawdopodobnie ze skrzyni półciężarówki)

Buduj wyrzutnie na dachach budynków ubezpieczalni i szkół - wąż kundalini albo smok Chaosu skręcony zielenią baru na tle żółci szczawianu sodu - Nic Depcz Mnie - albo kopulujące potwory wystrzelujące porcje ognistej spermy na ciepłe mieszkanka Baptistów.

Rzeźba z chmur, rzeźba z dymu i flag = Sztuka Powietrza Roboty Ziemi Fontanny = Sztuka wody. I Sztuka Ognia Sztucznych. Nie występuj dotowany przez Rockefellera za policyjnym zezwoleniem dla publiczności złożonej z miłośników kultury. Efemeryczne zapalające bomby umysłu, przerażające mandale wystrzelujące ogniem w kołtuńskie noce przedmieść, obco zielo-

ne grzmiące głowy emocjonalnej zarazy eksplodowane promieniami vadźra w kolorze orgono-błękitu, zlaserowanej feu-d'artifice.

Komety eksplodujące wonią haszyszu i radioaktywnego węgla drzewnego - upiory moczarów i błędne ogniki prześladowujące parki miejskie - fałszywe ogniki Św Elma błyskające ponad architekturą burżuazji - taśmy palców pani opadające na posadzki Parlamentu - salamadrowe elementale atakujące szacownych moralnych reformatorów.

Płonący szelak, laktoza, stront, smoła, woda gumowa, błyski chińskiego ognia - przez parę chwil powietrze jest ostre jak ozon - odpływająca opalowa chmura gryzącego dymu smoka - feniksa. Imperium wali się na chwilę, jego książęta i władcy uciekają do swej styksowej kloaki, pióropusze siarki z miotaczy ognia elfów pieką ich zadki stłoczone w ucieczce Morderca - dziecko, dusza ognia. zapanowuje na jedną krotką gorącą noc Syriusza.

Nietzscheański nadczłowiek, jeśli by zaistniał, musiał by posiadać w sobie jakiś stopień "zbrodniczości", nawet jeśli wyzbyty byłby wszelkich obsesji i przymusów, ponieważ jego prawo nigdy nie mogło by być w zgodzie z prawem mas, państwa i społeczeństwa. Jego potrzeba "wojny" (czy to dosłownej czy metaforycznej) mogła by go nawet zachęcić do udziału w rewolucji, niezależnie czy przybrała by ona formę insurekcji czy tylko dumnej cyganerii.

Dla niego "społeczeństwo bez prawa" stanowiłoby tylko taką wartość, jeśli by tylko wymierzało jego własną wolność wobec zależności innych, wobec ich zawiści i nienawiści. Bezprawne i krótkotrwałe "utopie pirackie" na Madagaskarze i Karaibach, D' Annunzio'a Republika Fiumy, Ukraina, czy Barcelona - podobały by mu się, jako że obiecywały zgiełk powstawania a nawet "upadek" w miejsce sielankowej śpiączki "doskonałego" (i dlatego martwego) społeczeństwa anarchistycznego.

Pod nieobecność takich okoliczności ten wolny duch gardził by marnowaniem czasu na agitki za reformami, na protesty, na wizjonerskie marzycielstwo, na wszelkiego sortu "rewolucyjne męczeństwa" - pokrótce, na samo sedno współczesnej anarchistycznej działalności. Być "rendi", pić wino w tajemnicy i nie zostać złapanym, akceptować reguły po to żeby je łamać i dzięki temu osiągać duchowe uniesienie lub energetyczną mieszkankę niebezpieczeństwa i przygody, prywatna epifania na rzecz przekroczenia każdego wewnętrznego policjanta, przy jednoczesnym kiwaniu zewnętrznej władzy - oto mógłby być cel godny takiego ducha i taka też mogła by być definicja zbrodni.

(Przypadkowo, jak sądzę, pozwala to zrozumieć Nietzscheański nacisk na MASKE, na tajemną naturę proto-nadczłowieka, co miesza nawet inteligentnych ale trochę liberalnych jego komentatorów, takich jak Kaufman. Artyści, co Nietzsche w nich ceni najbardziej, są krytykowani za "wypowiadanie tajemnic". Pewnie nie przyszło mu rozważyć, że -parafrazując A. Ginsberga - taka jest "nasza" droga stawania się "wielkimi"; i że - parafrazując Yeatsa - nawet najprawdziwsza tajemnica staje się jeszcze jedną maską.)

Jeśli zaś chodzi o współczesny ruch anarchistyczny: czy chcielibyśmy raz stanąć na gruncie, gdzie prawa są zniesione, a ostatni ksiądz powieszony na jelitach ostatniego biurokraty? No pewnie. Ale nie wstrzymujemy oddechu z wrażenia. Są pewne sprawy (by zacytować jeszcze raz Niczusia), których człowiek boi się całkiem porzucić z powodu jawnej głupoty ich wrogów. Oscar Wilde mógł sobie mówić, że nie można być gentlemanem, nie będąc trochę anarchistą - konieczny paradoks, tak jak Nietzscheański "radykalny arystokratyzm".

swojej społeczności – co stanowi dla nich powód do “prawdziwej” tajemnicy. Pomijając sprawę “kryminalistów”, którzy używają sufizm jako maskę – czy też raczej nie sufizm per se, ale derwisz-izm, prawie synonim w Persji dla luzackich zwyczajów i wyraz społecznej rozwiązłości, rodzaj genialnej i nędznej, lecz eleganckiej amoralności – można uznać powyższą definicję za dosłowną, a zarazem chwycić jej metaforyczny sens. Oznacza to, że: niektórzy sufi łamią Prawo, wciąż pozwalając aby ono istniało; czynią tak z pobudek duchowych, jako ćwiczenie woli (“himmah”).

Nietzsche powiada gdzieś, że wolny duch nie będzie zabiegał o to, aby reguły były odrzucone czy nawet reformowane, jako że tylko je łamiąc spełnia swoją wolę mocy. Należy udowodnić (sobie, jeśli nie innym), że jest się zdolnym do przekroczenia reguł stada, do czynienia swojego własnego prawa, a nie padania plackiem przed żalem czy też resentymentem wobec niższego ducha, który naznacza prawa i zwyczaje w KAŻDYM społeczeństwie. W związku z tym, potrzeba indywidualnego ekwiwalentu wojny, ażeby stać się wolnym duchem – potrzeba otępiełej głupoty, ażeby zwrócić przeciw niej czyjś ruch i inteligencję.

Anarchiści od czasu do czasu wysuwają postulat idealnego społeczeństwa bez prawa. Niewielu z nich eksperymentowało nad tym krótko (Machnowscy, Katalończycy), co przerwała wojna, diametralnie zmieniając warunki życia – nie mamy więc empirycznego dowodu na to, że taki eksperyment mógłby się powieść w okresie pokoju.

Niektórzy anarchiści, jednakże, jak nasz ostatni przyjaciel, stirnerowiec, “Brand”, uczestniczyli we wszelkich rodzajach powstań i rewolucji, nawet komunistycznych i socjalistycznych, ponieważ znajdowali w samym momencie insurekcji rodzaj wolności, której szukali. Stąd też, podczas gdy utopizm zawsze przegrywał, indywidualistyczni i egzystencjalistyczni anarchiści osiągnęli sukcesy w takiej mierze, w jakiej osiągnęli (choćby na krótko) spełnienie swojej woli mocy w wojnie.

Zwierzęca niechęć Nietzschego wobec “anarchistów” zawsze dotyczyła egalitarno-komunistycznych martyrologicznych narodników, których idealizm postrzegał jako jeszcze jedną formę post-chrześcijańskiego moralizmu – chociaż czasami miał do nich szacunek za to, że zwracali się przeciw władzy większości. Nigdy nie wspominał o Stirnerze, ale sądzę że zaklasyfikował by buntownika Indywidualistę do wyższej klasy “zbrodniarzy”, którzy przedstawiali dla niego (tak jak i dla Dostojewskiego) ludzi o wiele przewyższających stado, nawet jeśli targała ich obsesja i ukryta żądza rewanżu.

Komunikaty Stowarzyszenia Na Rzecz Ontologicznej Anarchii

Komunikat 7: Psychiczny paleolityzm i nowoczesna technologia: Wykładnia Stanowiska

TYLKO STĄD, ŻE S.O.A. mówi bezustannie o ”Paleolityzmie”, nie należy jeszcze wyciągać wniosków, że zamierzamy wpakować się z powrotem do Epoki Kamienia.

Nas nie interesuje ”powrót do ziemi”. jeśli takowy wiąże się z nudnym życiem grzebiących w gnoju chłopów – nie chcemy też ”plemienności” jeśli towarzyszą jej tabu, fetysze i niedożywienie. Nie prowadzimy sporu z pojęciem kultury – w tym również z technologią; dla nas problem zaczyna się wraz z cywilizacją.

To co nam podoba się w Paleolitycznym życiu, zostało podsumowane, przez szkołę antropologiczną zwaną, ”Ludem bez władzy”: Eleganckie rozleniwienie społeczeństwa łowców/zbieraczy, 2-godzinny dzień pracy, obsesja na punkcie sztuki, tańca poezji i amorów, ”demokratyzacja szamanizmu”, kultywacja percepcji – w skrócie, kultura. To czego nie lubimy w cywilizacji, daje się wydedukować z następującej progresji: Rewolucja Agrarna”; powstanie kasty; Miasto i jego kult hieratycznej kontroli (”Babilon”); niewolnictwo; dogmat; imperializm (”Rzym”). Zdławienie seksualności w ”pracy” pod egidą ”władzy”. ”Imperium nigdy nie runęło”.

Psychiczny paleolityzm oparty na High-Tech-post-agrarnym, post-industrialnym, ”zerowork”-owym, nomadycznym (albo ”Wykorzenionym-Kosmopolitycznym”) - Społeczeństwie Paradygmatu Kwantowego - oto idealna wizja przyszłości zgodna z Teorią Chaosu jak również ”Futurologią” (w Roberta Antona Wilsona-T.Leary’ego sensie tego słowa).

Co do terażniejszości: odrzucamy wszelką kolaborację z Cywilizacją Anoreksji i Bulimii, z ludźmi tak zawstydzonymi absolutnym brakiem cierpienia w swoim życiu, że wymyślają włosienice dla siebie i innych - albo tymi, któ-

rzy bezlitośnie się obżerają, a potem wypluwają z siebie rzygi zrepresjonowanego poczucia winy poprzez masochistyczne oddawanie się joggingowi i dietom. Wszystkie nasze przyjemności i autodyscypliny należą do nas z Natury - samych siebie nigdy się nie wypieramy, nigdy z niczego nie rezygnujemy (za to niektóre rzeczy zrezygnowały z nas i opuściły nas ponieważ okazaliśmy się dla nich za duzi). Jestem nie tylko jaskiniowcem, ale także podróżującym do gwiazd mutantem, oszustem i wolnym księciem. Swego czasu zaproszono pewnego wodza indiańskiego na bankiet w Białym Domu. Kiedy podano do stołu, wódz nałożył sobie całą kopę na talerz i potem wziął jeszcze dwie dokładki. W końcu siedzący obok niego białyś powiada: "Wodzu, chłeh-chłeh, czy nie uważasz że trochę tego za dużo?". "Mhm", odpowiada Wódz, "Trochę za dużo, to dla wodza dokładnie tyle, ile trzeba!" Niemniej jednak pewne doktryny "Futurologii" wciąż nastęrczają problemów. Przykład: nawet jeśli zaakceptujemy wyzwoleńczy potencjał takich technologii jak TV, komputery, robotyka, podbój kosmosu, etc., to i tak będziemy widzieli rozdźwięk między potencjalnością a realizacją. Banalizacja telewizji, juppifikacja komuterów i militaryzacja kosmosu sugerują, że owe technologie same w sobie nie dostarczają żadnych "stwierdzonych" gwarancji, że ich zastosowanie będzie miało charakter wyzwoleńczy.

Nawet jeśli odrzucimy Nuklearny Holokaust jako jeszcze jedną Spektakularną Dywersję, zaaranżowaną po to, by odwrócić naszą uwagę od prawdziwych problemów, to i tak musimy przyznać że "Wzajemnie Zagwarantowane Zniszczenie" i "Czysta Wojna" celują w tłumienie naszego entuzjazmu wobec pewnych aspektów Przygody High-Tech.

Ontologiczna Anarchia wciąż kocha luddyzm jako taktykę: jeśli dana technologia, nieważne jak godna podziwu in potentia (w przyszłości), jest wykorzystana do ciemnienia mnie tu i teraz, to powinienem albo posłużyć się bronią sabotażu, albo przejąć środki produkcji (czy wręcz środki komunikacji). Nie ma człowieczeństwa bez techné - ale nie ma techné wartiej więcej niż moje człowieczeństwo

Odrzucamy z pogardą bezmyślny anty-technologiczny anarchizm - choć podobno zdarzają się tacy którzy uwielbiają uprawiać rolę - i odrzucamy też koncepcję Technologicznej Fiksacji. Dla nas wszelkie formy determinizmu wydają się jednakowo jałowe - nie jesteśmy niewolnikami ani naszych genów ani naszych maszyn. "Naturalne" jest to, że coś sobie wyobrażamy i że tworzymy. "Natura nie ma praw - tylko zwyczaje".

Dla nas życie nie należy ani do Przeszłości - tej krainy sławnych duchów tulących do piersi swe zaśnieżone grzebalne dary - ani do Przyszłości,

istniała będzie również potrzeba na radykałów, którzy spenetrują instytucje samej religii, a nie powtarzać będą dziewiętnastowieczne frazesy o ateistycznym materializmie I tak, tak się stanie - lepiej podejść do tego świadomie, ze stylem i gracją.

Mieszkając niegdyś w pobliżu siedziby Światowej Rady Kościołów, rozkoszowałem się możliwością utworzenia parodystycznej wersji Wolnych Religii - parodia jest jedną z naszych głównych strategii (możemy ją też nazwać "detournement'em", dekonstrukcją, czy twórczą destrukcją) - rodzaju luźnej sieci (nie lubię tego słowa; mówmy lepiej o "pajęczynie") dziwacznych kultów i jednostek, umożliwiającej konwersację i wzajemne usługi, z której mógłby wyłonić się trend lub tendencja lub "strumień" (w magicznej terminologii) wystarczająco silny, by dokonać psychicznego spustoszenia wśród Fundamentalistów i New Age'owców, ajatollahów i Papiestwa, wystarczająco wesoły, by można się było kłócić i wciąż urządzać wspólne imprezy - czy też konklawy, czy rady ekumeniczne, czy Kongresy Światowe - które witać będziemy z radością.

Wolne Religie mogą stanowić jedyną możliwą duchową alternatywę wobec oddziałów telewangelistów i przygłupich srebrnoekranowców (nie mówiąc już o oficjalnych religiach) i dzięki temu stawać się będą coraz bardziej i bardziej znaczące, coraz bardziej i bardziej witalne w przyszłości, gdy żądanie erupcji cudownego w zwyczajnym stanie się najbardziej donośnym, ostrym i burzliwym ze wszystkich politycznych żądań - przyszłości, która rozpocznie się (hej, poczekajcie chwilę, niech spojrzę na zegarek) ...7, 6, 5, 4, 3, 2, 1... TERAZ.

Nietzsche i Derwisze

RENDAN, "LUDZIE PRZYTOMNI". Sufi stosowali termin techniczny "rend" (przym. "rendi", l.mn. "rendan") do nazywania kogoś "wystarczająco przytomnego, by mógł wypić wino w tajemnicy, nie będąc na tym przyłapanym": derwijska wersja "Dozwolonej Obłudy" ("taqiyya", podczas której Szyitom wolno jest kłamać na temat ich przynależności, by uniknąć prześladowań, tak dalece, jak sprzyja to ich propagandzie).

Na planie "Ścieżki", "rend" ukrywa swój stan duchowy ("hal"), ażeby nad nim panować. Ta "przytomność" wyjaśnia wiele tajemnic Zakonu, chociaż pozostaje prawdą, że wielu derwiszów notorycznie łamie reguły Islamu ("shariah"), obraża tradycję ("sunnah") i szydzi sobie ze zwyczajów

skość i nomadyzm Islamu w jedną trajektorię, czasem zwaną "Karawaną Lata". Derwisz ślubuje podróżować z pewną szybkością, zazwyczaj będąc w jednym mieście nie dłużej niż przez 7 czy też 40 nocy, nastawiony na wszystko, co się zdarza, idąc tam, gdzie znaki, czy też koincydencja go poprowadzi, od jednego miejsca mocy do innego, świadom "świętej geografii", podróży jako znaczenia, topologii jako symbologii.

A oto i jeszcze jedna konstelacja : Ibn Khaldun, "On the Road" (tak Jacka Kerouaca, jak i Jacka Londona), zbójcka opowieść, Baron Munchausen, "wanderjahr", Marco Polo, chłopcy w podmiejskim letnim lesie, rycerze Króla Artura szukający kłopotów, pedały robiące objazd po mieście w poszukiwaniu chłopców, szlajanie się po barach z Melville'em, Poem i Baudelaire'erm – czy też kajakowanie z Thoreau w Maine... podróż jako antyteza turystyki, przestrzeń raczej aniżeli czas. Projekt artystyczny : konstrukcja "mapy" o wymiarach 1:1 z odkrywaniem "terytorium". Projekt polityczny : konstrukcja zmieniających się "stref autonomicznych" w niewidzialnej nomadycznej sieci (jak Złoty Tęczy). Projekt duchowy : stworzenie lub odkrycie pielgrzymki, w której pojęcie "świątyni" zastąpione (zezoteryzowane) zostanie pojęciem "doświadczenia szczytowego".

To, co staram się tutaj zrobić, to dostarczenie solidnej irracjonalnej bazy lub też, jeśli wolicie, dziwnej filozofii, a co sam nazywam Wolnymi Religiami. Składają się na to prądy psychedeliczne i discordiańskie, nie-hierarchiczny neopoganizm, antynomiczne herezje, chaos i Magia Kaosu, rewolucyjne Ho-oDoo, "niekościelni" i anarchistyczni Chryścijanie, Magiczny Judaizm, Mauryski Kościół Ortodoksyjny, Kościół SubGeniuszu, Faeriewie, radykalni Taoiści, mistycy piwa, ludzie Ziola, etc., etc.

Wbrew przewidywaniom dziewiętnastowiecznych radykałów, religia nie poszła sobie precz, lecz urosła w siłę, w porównaniu do globalnego wzrostu w dziedzinach technologii i racjonalnej kontroli. Fundamentalizm i New Age czerpią trochę siły z głębokiego i powszechnego niezadowolenia z Systemu, który działa przeciwko percepcji cudowności codziennego życia – nazwijcie go Babilonem czy też Spektaklem, Kapitałem czy Imperium, Społeczeństwem czy Symulacją, albo też bezduszną maszyną – jak wolicie. Ale te dwie siły religijne zmieniają kierunek samego pragnienia autentyczności w stronę przytłaczających i opresyjnych nowych abstrakcji (moralności w przypadku fundamentalizmu, wygodnictwa w przypadku New Age) i z tego powodu można je spokojnie nazwać "reakcyjnymi". Gdy kulturowi radykałowie będą infiltrować i obalać pop-kulturę, a polityczni radykałowie dokonają podobnych działań w sferach Pracy, Rodziny i innych organizacji społecznych,

której obywatele, jajogłowi i mutanczy, strzegą jakże zazdrośnie sekretów nieśmiertelności. lotów z prędkością światła, designerskich genów i obumierania Państwa.

Aut nunc aut nihil. Każda chwila ma w sobie coś z wieczności, którą należy spenetrować - a mimo to zatracamy się w wizjach oglądanych oczyma trupów albo w nostalgii za niezrodzonymi doskonałościami.

Osiągnięcia moich przodków i potomków nie są dla mnie niczym więcej jak pouczającą albo zabawną opowieścią – nigdy nie nazwę ich lepszymi ode mnie, nawet po to by usprawiedliwić własną małość. Drukuję dla siebie licencję na okradanie ich z wszystkiego, czego potrzebuje – z dziedziny psychicznego paleolityzmu albo high-tech – albo, skoro już o tym mowa, z cudownego gruzu samej cywilizacji tajemnic ukrytych mistrzów, przyjemności frywolnego szlachectwa i la vie boheme

La decadence, wbrew Nietschemu, odgrywa w Ontologicznej Anarchii rolę równie ważką jak zdrowie - bierzemy wzajemnie od siebie, co tylko chcemy. Dekadencyjni esteci nie wszczynają głupich wojen ani też nie pograżają swej świadomości w mikrocefalicznej chciwości i resentymentach. Szukają przygody w artystycznej innowacji i nie-zwyczajnej seksualności, a nie w nieszczęściu bliźniego. S.O.A podziwia i gorliwie naśladuje ich lenistwo, ich pogardę dla głupoty normalności, zawłaszczenie arystokratycznej wrażliwości. dla nas te jakości, paradoksalnie, harmonizują z jakościami Starej Epoki Kamienia i jego nadmiarem zdrowia, nieznanością hierarchii, kultuwacją bardziej wirtu niż Prawa. Domagamy się dekadencji bez choroby i zdrowia bez nudy!

Dlatego właśnie S.O.A udziela nieograniczonego wsparcia wszelkiej maści tubylczym i plemiennym ludom w ich walce o pełną autonomię - ale również także najdzikszym, najbardziej kosmicznym spekulacjom i żądaniom Futurologów. Paleolityzm przyszłości (która dla nas jako mutantów już, istnieje) na wielką skalę da się osiągnąć jedynie za pośrednictwem masywnej technologii Imaginacji oraz naukowego paradygmatu, który wykracza poza mechanikę Kwantową, sięgając do Teorii Chaosu i halucynacji Fikcji Spekulatywnej.

Jako Wykorzeni Kosmopolici rościmy sobie prawo do wszelkich uroków przeszłości, Orientu, społeczności plemiennych - wszystko to musi i może być nasze, nawet skarby Imperium: są nasze do podziału. I jednocześnie żądamy technologii, która jest transcendentna wobec rolnictwa, przemysłu, nawet symultaniczności elektryczności, żądamy hardware'u, który krzyżuje się z wetwarem świadomości, który przyjmuje moc kwarków, cząstek cofających się w czasie, kwazarów i światów równoległych. Skłóceni ide-

olodzy libertarianizmu zalecają rozmaite utopie każdorazowo zgodne z daną odmianą ich tunelowej wizji poczynając od chłopskiej komuny, a kończąc na Kosmicznym mieście w L-5. Powiemy: Niech rozkwitnie tysiąc kwiatów - mimo że nie mamy ogrodnika, który wyrwałby chwasty i okazy wynaturzone według jakiegoś umoralniającego albo eugenicznego planu. Jedyny prawdziwy konflikt to konflikt między władzą tyrańską a władzą zrealizowanego "ja" - wszystko inne jest iluzją, psychologiczną projekcją, niepotrzebnym gadulstwem.

Pod pewnym względem synowie i córki Gai nigdy nie wyszli z paleolitu, pod innym wszystkie udoskonalenia przyszłości już są nasze. Tylko insurekcja może "rozwiązać" ten paradoks - tylko powstanie przeciwko fałszywej świadomości zarówno w nas jak i w innych zmiecie technologię opresji i ubóstwa Spektaklu. W tej bitwie pomalowana maska albo grzechotka szamana mogą się okazać równie ważne jak przejście satelity komunikacyjnego albo tajnej sieci komputerowej.

Jedynym kryterium, na podstawie którego oceniamy dowolną broń czy narzędzie, jest jego uroda. Środki już są celem, w pewnym sensie; insurekcja jest przygodą; Stawanie się JEST Byciem. Przeszłość i przyszłość istnieją tylko w nas i dla nas, alfa i omega. Nie ma innych bogów przed nami ani po nas. Jesteśmy wolni w CZASIE i będziemy również wolni w PRZESTRZENI.

Komunikat 8: Teoria chaosu i rodzina nuklearna

W niedzielę w Parku Riverside Ojcowie ustawiają swoich synów na właściwym miejscu, przekuwając ich w magiczny sposób do trawy zgubnymi zniewalającymi spojrzeniami pełnymi skautowskiej koleżeńskości, zmuszając ich do rzucania całymi godzinami w te i wewte piłek baseballowych. Chłopcy wydają się być niemalże małymi świętymi Sebastianami przebitymi strzałami nudy.

Filisterskie rytuały zabawy rodzinnej zamieniają każdą parną letnią łąkę w Park Tematyczny, każdy syn staje się nieświadomą alegorią bogactwa Ojca, błądą dwu albo trzykrotnie przenicowaną reprezentacją. Dziecko jako metafora Czegoś-tam-lub-czegoś innego.

I wówczas nadchodzę wraz ze zbliżającym się zmierzchem, w oparach grzybów, na wpół przekonany, że setki światełek, które widzę, pochodzą z mojej własnej świadomości - Gdzie one się podziewały przez te wszystkie lata? Dlaczego tak wiele i tak nagle? - Każdy wzlatujący w chwili największe-

języka! Proponuję raczej poćwiartować je na części, dokonać aktu kulturowego bricolage' u. "Rewolucja" oznacza tylko jeszcze jeden obrót korbą - podczas gdy religijna ortodoksja każdego rodzaju prowadzi do istnego rządu korb. Nie róbmy idola z satori, myśląc że mają nań monopol mnisi, czy też wyobrażając je sobie jako jakiś rodzaj kodu moralnego; zamiast fetyszycować Lewactwo z '68, wolimy stirnerowski termin "insurekcji" czy też "powstania", który wymyka się nadbudowywanym implikacjom zwykłej zmiany władzy.

Ta konstelacja pojęć "łamię reguły" uporządkowanej percepcji, prowadząc ku bezpośredniemu doświadczeniu, co przypomina proces, w którym chaos spontanicznie przemienia się w nieliniowe porządki fraktalne, czy też sposób, w jaki "dzika" energia realizuje się w zabawie i "poesis". "Porządek spontaniczny" wylaniający się z "chaosu" ewokuje natomiast anarchistyczny Taoizm Czuang Tsy. Zen można oskarżać o brak świadomości "rewolucyjnych" następstw satori, podczas gdy można krytykować Sytuacjonistów za ignorowanie szczególnej "duchowości" zawartej w samo-spełnieniu i infantylnym spraw, o które walczyli. Utożsamiając satori z rewolucją życia codziennego, dokonujemy nieco wystrzałowego mariażu, który przypomina surrealistyczny ślub parasola z maszyną do szycia czy coś podobnego. Skrzyżowanie. Postulowane przez Nietzsche'ego krzyżowanie się ras, którego pociągała, bez wątpienia, seksowność Metysek.

Nęci mnie opisanie, dlaczego satori "jest" jak rewolucja życia codziennego - ale nie mogę. Czy też inaczej: prawie całe moje pisanie kręci się wokół tego tematu; musiałbym powtórzyć prawie wszystko, ażeby oświetlić ten jeden punkt. Zamiast tego, jako dodatek, oferuję jeszcze jeden zbieg okoliczności i wzajemnie przenikanie się dwóch terminów, jednego, jeszcze raz od Sytuacjonistów, a drugiego, tym razem, od Sufich.

"Derive", czy też "dryf" był pomyślany jako ćwiczenie w przemysłnym rewolucjonizowaniu codziennego życia - rodzaj bezcelowego włóczenia się po ulicach miejskich, wizjonerski nomadyzm miejski otwarty na "kulturę jako naturę" (jeśli rozumiem to dokładnie) - które ze względu na samo trwanie zaszczyliłoby u dryfujących skłonność do doświadczenia cudownego; pewnie nie zawsze w korzystnej formie, ale zawsze prowadzące do wglądu - poprzez architekturę, erotyzm, przygodę, drinki i narkotyki, niebezpieczeństwa, inspiracje czy cokolwiek - w intensywność niezapśredniczonej percepcji i doświadczenia.

Paralelnym terminem w Sufizmie byłaby "podróż do kresu widnokregu", czy też po prostu "podróżowanie", duchowe ćwiczenie, które łączy miej-

medytuję nad Tarą przez kilkanaście dni (z mantrą, jantrą, mudrą, kadzidłem i kwiatami) i wracam do pogodnego Dardżylingu i jego dobroczynnych wizji.

Jej wiek musi być pełen horroru, jako że większość z nas nie może jej zrozumieć ani sięgnąć ponad naszyjnik z czaszek po jaśminowy wieniec, ze zrozumieniem w jakim sensie są one tym samym. Iść poprzez CHAOS, ujeżdżać go jak tygrysa, obejmować go (nawet seksualnie) i przyjmować trochę jego siakti, jego soku życia – oto Ścieżka Kali Yugi. Twórczy nihilizm. Tym, którzy na nią wstąpią, obiecuje oświecenie a nawet dostatek, część jej doczesnej mocy.

Seksualność i przemoc służą jak metafory w poemacie, które działają bezpośrednio na świadomość poprzez Wyobraźnię – a nadto, we właściwych warunkach, mogą się dobrze rozwinąć i radować, wypełnione sensem świętości wszystkiego, od ekstazy i wina po śmieci i zwłoki.

Ci, którzy ignorują ją lub postrzegają poza sobą, narażeni są na zniszczenie. Ci, którzy czczą ją jako iszta-devata lub boską jaźń, smakują Żelazny Wiek jakby był złotym, znając alchemię jego obecności.

Dla kongresu dziwacznych religii

NAUCZYLIŚMY SIĘ NIE DOWIERZAĆ słowu “być”, słowu “jestem” – powiedzmy raczej : zauważcie uderzające podobieństwo pomiędzy pojęciem SATORI a pojęciem REWOLUCJI ŻYCIA CODZIENNEGO – w obu przypadkach mamy do czynienia z percepcją “zwyczajnego” o nadzwyczajnych konsekwencjach dla świadomości i działania. Nie możemy zastosować frazy “są one podobne”, ponieważ oba te pojęcia (jak wszystkie pojęcia, wszystkie słowa z tej przyczyny) są zaskorupiałe – każde jest obciążone psycho-kulturowym bagażem, jak goście, którzy przyjeżdżają podejrzliwie obładowani własnym jedzeniem na weekend.

Pozwólcie mi więc używać beatnikowsko-zenistycznego słowa “satori”, przy jednoczesnym podkreśleniu – w przypadku sytuacjonistycznego sloganu – że jedna z podstaw jego dialektyki jest związana z dadaistyczno-surrealistycznym wyobrażeniem “cudowności” tryskającej z (do) życia, która jedynie “wydaje się” być uduszona przez banalność, przez nędzę abstrakcji i alienacji. Określam te terminy nieco nieprecyzyjnie po to, by uniknąć ortodoksji zarówno Buddyzmu jak i Sytuacjonizmu, by przebrnąć przez ich ideologiczno-semantyczne pułapki – te maszynki od łamania

go rozżarzenia, wykreślając szybkie łuki jak abstrakcyjne wykresy energii tkwiącej w spermie.

”Rodziny! Lichwiarze miłości! Jak ich nienawidzę!” – Piłki baseballowe fruują bez celu w zmierzchu, omijają wyciągnięte po nie ręce, głosy podnoszą się w zirytowanym zmęczeniu. Dzieci czują jak promienie słoneczne rozświetlają ostatnie godziny reglamentowanej wolności, ale Ojcowie wciąż nalegają na przedłużenie do kolacji beznamietnego epilogu ich patriarchalnej ofiary, aż cienie strawią zieleń.

Jeden z tych synów z przyszłością spotyka się ze mną wzrokiem – Przekazuję mu telepatycznie wyobrażenie słodkiej dozwoloności, zapach CZASU wyzwolonego z wszelkich harmonogramów szkoły, lekcji muzyki, obozów letnich, wieczorów rodzinnych wokół telewizora, Niedziel w Parku z Tatusiem – autentycznego chaotycznego czasu.

Teraz rodzina opuszcza Park, mały pluton niezadowolenia. Ale TEN JEDEN obraca się i uśmiecha do mnie ze zrozumieniem – ”Wiadomość odebrana” – i odpływa za ognikiem, podtrzymywany na duchu przez moje pragnienie Ojciec wyszczekuje mantrę, która rozprasza nasze porozumienie

Chwila mija. Chłopiec zostaje pochłonięty przez schemat tygodnia – znika jak bosy pirat albo Indianin wzięty w niewolę przez misjonarza. Park wie kim jestem, porusza się pode mną jak olbrzymi jaguar bliski przebudzenia na nocną medytację. Smutek jeszcze go powstrzymuje, ale w swej najgłębszej istocie pozostaje wciąż nieopanowany wspinały nieporządek w środku miejskiej nocy.

Instrukcje do Kali Yugi

Kali Yuga ma jeszcze przed sobą 200 000 lat – dobre wieści dla adwokatów i awatarów CHAOSU, złe dla Braminów, Jahwistów, biurokratów Boga i ich pomagierów.

Wiedziałem, że Dardżyling kryje w sobie jakąś tajemnicę, kiedy tylko usłyszałem tą nazwę – dordże ling – Miasto Gromu. Przyjechałem tam w 1969 roku tuż przed monsunami. Stara brytyjska stacja górską – letnia siedziba rządu bengalskiego – ulice w kształcie wijących się drewnianych schodów, deptak z widokiem na Sikkim i Kanczendzongę – świątynie tybetańskie i uchodźcy – piękni żółto-porcelanowi ludzie zwani Lepczami (prawdziwi tubylcy) – Hindusi, Muzułmanie, Nepalczycy, bhutańscy Buddyści i podupadli

Brytowie, którzy zagubili się na swej drodze do domu w 1947, nadal kierując stęchłymi bankami i herbaciarniami.

Spotkałem Ganesz Babę, grubego, białobrodego saddhu o nazbyt nieskazitelnym oxfordzkim akcencie – nie widziałem nigdy, by ktoś palił tyle gandzi, faja po faji, a potem włóczyliśmy się, podczas gdy on grał w piłkę z wrzaskliwymi dziećmiakami lub wywoływał potyczki na bazarze, goniąc przestraszonych urzędników z parasolem i wybuchając śmiechem.

To on poznał mnie ze Szri Kamanaransan Biswasem, drobnym, wiotkim, w wieku średnim urzędnikiem rządu bengalskiego w zniszczonym ubraniu, który zaproponował nauczyć mnie Tantry.

Mr Biswas mieszkał w małym bungalowie umieszczonym na stromym, leśnym, mglistym stoku, gdzie odwiedzałem go z półlitrową, tanią brandy, niezbędną do obrzędów i libacji – podczas rozmowy zachęcał mnie do palenia, jako że gandzia również jest poświęcona Kali. Mr Biswas, kiedy jeszcze był dzikim młodzieńcem, należał do Partii Terrorystów Bengalskich, do której przystępowali zarówno czciciele Kali i heretycy mistycy muzułmańscy, jak i anarchiści i lewacy ekstremiści. Ganesz Baba zdawał się chwalić tą tajemną przeszłość, bo miała ona jakoby stanowić znak ukrytej mocy tantrycznej Mr Biswasa, wbrew jego wytartemu wyglądowi zewnętrznemu.

Rozmawialiśmy o moich odczytach u Sir Johna Woodruffe' a ("Arthur Avalon"). Każdego popołudnia, włóczyłem się tam w zimne, letnie mgły, tybetańskie szatki łopotwały przesiąknięte bryzą, mającąc pośród mgły i cedrów. Praktykowaliśmy Tara-mantrę i Tara-mudrę (lub Joni-mudrę), studiując także diagram Tara-jantry dla celów magicznych. Raz odwiedziliśmy świątynię poświęconą hinduskiemu Marsowi (który, tak jak u nas, jest zarówno planetą i bogiem wojny), w której Biswas kupił pierścień zrobiony z gwoźdźcia żelaznej podkowy i dał go mnie. Więcej brandy i gandzi.

Tara: jedna z form Kali, o bardzo zbliżonych do niej cechach: karłowata, naga, czteroramienna, uzbrojona, tańcząca na martwym Sziwie, naszyjnik z czaszek lub uciętych głów, język ociekający krwią, skóra o granatowo-szarym kolorze chmur monsunowych. Z dnia na dzień coraz więcej deszczu – błoto tamujące przejazd. Kończy się moje pozwolenie na pobyt. Wyjeżdżam jeepem razem z Mr Biswasem z mokrych Himalajów i dalej, już pociągami, jadę w dół do miasta jego przodków, Siliguri, pośród rozległej bengalskiej równiny, gdzie Ganges rozlewa się w wodnistą, zieloną deltę.

Odwiedzamy jego żonę w szpitalu. Zeszłoroczna zaraza dziesiątkowała ludność Siliguri. Wybuchła cholera, zgładziła miasto, wszędzie glony i ruiny, korytarz szpitalny wciąż pobrudzony mułem, krwią, rzygami, płynami

śmierci. Siedzi cicho na łóżku, utkwivszy ślepo wzrok w szkaradnym losie. Ciemna strona boginii. Biswas daje mi kolorowany litograf Tary, który z cudem uniósł się nad wodą i ocalał.

Tej nocy uczestniczymy w jakiejś ceremonii w miejscowej świątyni Kali – skromnej, na w pół zrujnowanej, przydrożnej kapliczce – przyświeca nam tylko pochodnia – śpiewy i bębny, z dziwną, prawie że afrykańską synkopą, całkowicie nieklasyczną, pierwotną i jeszcze szalenie powikłaną. Pijemy, palimy.

Sam na cmentarzu, w pobliżu niedopalonych zwłok, jestem inicjowany w Tantrę Tary. Następnego dnia, rozgorączkowany i wypruty, mówię do widzenia i wyruszam w drogę do Asamu, do wielkiej świątyni siaktijskiej "joni" w Gauhati, na czas dorocznego festiwalu. Asam jest terytorium zakazanym, do którego nie mam wstępu. O północy w Gauhati wymykam się z pociągu, zeskakując w deszcz i błoto, taplając się po kolana i błędząc w zupełnej ciemności. Po omacku docieram w końcu do miasta, gdzie znajduję zapluskwiony hotel. Ogłupiały niczym pies. Bez snu.

O poranku autobusem do świątyni na pobliskiej górze. Olbrzymie wieże, stojące bóstwa, dziedzińce, przybudówki – setki tysięcy pielgrzymów – niesamowici saddhowie u spodu swoich grot lodowych, siedzący na tygrysiach skórkach i śpiewający. Owce i gołębie żązniane tysiącami, prawdziwa hekatomba – (ani widu jakiegoś białego sahiba w zasięgu wzroku) – ścieki opływające krwią – wygięte miecze Kali ciach ciach ciach, martwe głowy opadają na śliski bruk.

Kiedy Sziwa poszlachtował Siakti na 53 kawałki i porozrzucił je po całym dorzeczu Gangesu, jej cipka spadła tutaj. Jacyś mili kapłani mówią po angielsku i pomagają mi znaleźć grootę, w której wystawiana jest Joni. Już wiem, że jestem poważnie chory, ale decyduję się dopełnić rytuału. Stado pielgrzymów (wszyscy przynajmniej o głowę mniejsi ode mnie) dosłownie porywa mnie niczym fala na plaży i ciska po zatęchłych jaskiniowych schodkach ku klaustrofobicznej grocie-macicy, gdzie zwijam się w kłębek, dostając mdłości i mając wizję bezkształtnego stożkowatego meteorytu, poplamionego przez wieki gii i ochrą. Tłum rozstaje się ze mną, pozwalając mi wrzucić wianuszek jaśminu do joni.

W tydzień potem ląduję w niemieckim szpitalu misyjnym (na miesiąc) w Kathmandu z zapaleniem wątroby. Mała cena jak za taką wiedzę – wątroba jakiegoś emerytowanego pułkownika z powieści Kiplinga – ale znam ją, znam Kali. O tak, absolutny archetyp tego całego horroru, dla tych, którzy ją znają, jest jak szczodra matka. Potem, w grocie w dżungli, gdzieś nad Ryzikiszem,